Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 20. Listopada 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 47.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6 m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy)

I wszystkim zawsze mówił:

»Takiej mnie żony trzeba było, jak mój zefirek! Z inną, któraby mnie rozdrażniała, mógłbym co niedobrego popełnić!« W ostatnich szczególniej latach żyliśmy z sobą w wielkiej zgodzie... on przyzwyczaił się do moich gustów, ja wiedziałam już jak postępować, aby go do gniewu nie przyprowadzać... to też, gdy umierał, ostatnie spojrzenie i słowo jego, było dla mnie...

— To prawda! — szepnęła Brygida.

Żyrewiczowa otarła łzy z oczu i przednie pasma z lekka świecących swych włosów, zaczęła na szpilki podwójne zakręcać.

— Moja mamo! — szyjąc wciąż, ozwała się po chwili Brygida — mam do mamy jedną prośbę.

— Cóż to takiego, czego chcesz?

— Niech mi mama powie, czy... pan Stanisław, akuratnie wypłaca procent od pieniędzy u mamy pożyczonych?

— Cóż to znowu za pytanie? zkądże ci to przyszło do głowy? O niczem nigdy nie myślisz, tylko o takich poziomych...

— Chciałam dziś pójść na rynek, żeby trochę zapasów w dzień targowy kupić i... w szufladzie znalazłam już tylko dwa złote.

Żyrewiczowa zarumieniła się.

— I ztąd wniosłaś zapewne, że Staś jest nieakuratnym i nieuczciwym. O, ty skłonna jesteś do podejrzeń. Wszyscy dla ciebie są czarni, a szczególniej przyjaciele twojej matki. Otóż widzisz, jak omyliłaś się... Był dziś i wypłacił, co do grosza wypłacił...

Poskoczywszy do komody, wyjęła z niej i pokazała córce kilka wartościowych papierków. Nie przedstawiały one przecież wcale procentu wypłaconego, ale cząstkę kapitału, którą wdowa z uczynionej Stanisławowi ogólnej pożyczki dla siebie zachowała. Brygida podniosła głowę i popatrzała na ukazywane jej pieniądze. Była widocznie zadowoloną.

— To dobrze — rzekła — kapitał mamy jest więc bezpiecznie ulokowany.

— Dla czegoż mówisz, że to mój kapitał. Słyszałaś przecie, jak ojciec umierając powiedział: »Dla ciebie Zefirku i dla Bryni.«

— O, nie! o, nie! — zawołała Brygida — to jest majątek mamy... mamy jednej. Chciałam tylko wiedzieć, czy on pewnie ulokowany!

Żyrewiczowa nie odgadywała wcale znaczenia i celu zapytań córki, ale rozbrojona słowami jej mówić zaczęła:

— Ależ pewnie, najpewniej! najbezpieczniej! Cóż ty sobie myślisz o Stasiu? on przecież ma majątek, Żyrewicze... rodzinny majątek familji Żyrewiczów... obywatelem jest a teraz to najlepiej lokować kapitały na majątkach obywatelskich... Zresztą, on taki dobry, szlachetny... duszę ma najwznioślejszą w świecie, a ze mną łączy go przyjaźń, oparta na braterstwie usposobień, na... na... czemś takiem... takiem... Ty masz jakieś uprzedzenie do Stasia i ja ci to mam bardzo za złe. Jedyny to krewny ojca twego, który nas odwiedza... a żebyś widziała jak ślicznie dziś na tym wieczorze u Rolickich wyglądał... duszka chłopiec!

Brygida wstała i złożyła robotę.

— Idźmy spać, mamo! już późno!

Z rozmarzonym uśmiechem na ustach, Żyrewiczowa uklękła i zaczęła odmawiać wieczorne pacierze. Po chwili słychać było — jak mówiła żarliwie i półgłosem: — Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista...

Modliła się za duszę męża.

W tej samej porze, stara Łopotnicka, po stoczonych walkach i poniesionych trudach, udawała się też do spoczynku. W białym kaftanie i haftowanym czepeczku nocnym, wpół okryta włóczkową kołdrą, misternem dziełem swej córki, siedziała na łóżku, prosta jak struna, a twarz jej i ręce, obok śnieżnej białości kaftana i czepeczka, wyglądały tak, jak gdyby były ulane z wosku. Rozalji, która przy świetle lampki, rozbierała się na nizkiej i twardej sofce, opowiadała ona różne rzeczy o mieszkańcach wsi, którzy wieczoru tego bawili się u Rolickich. Mówiła o starych i o młodych, o kobietach i mężczyznach. Z jednymi była kiedyś sprzyjaźnioną, innych znała dziećmi; o wszystkich wiedziała z jakich rodzin pochodzą, jak nazywały się lub nazywają majątki ich, matki i babki. Była to słowem długa litanja nazwisk, przeplatana obrazami zmian i kolei, przebywanych przez liczne szlacheckie rodziny w okolicach Ongrodu zamieszkałe. Rozalja długiej tej mowy matki słuchała z nadzwyczajnem zajęciem, z takiem nawet skupieniem ducha, z jakiem ludzie głęboko wierzący słuchają o budzących w nich cześć głęboką przedmiotach swej wiary. Gdy jednak stara umilkła na chwilę, córka jej ozwała się nieśmiałym i wahającym się głosem.

— Dziwna rzecz! dla czego wszyscy ci państwo nigdy teraz mamy nie odwiedzają i tak jakby zupełnie o nas zapomnieli. Łopotnicka uroczystym gestem podniosła w górę długi, żółty swój palec.

— Nie sądź i nie skarż się! — wymówiła. — Niech cię Bóg broni abyś kie-

dykolwiek źle o nich mówić, albo skarzyć się na nich miała! Nie uznałabym cię za córkę moją, choćbym już nie żyła, duch mój odmówiłby ci błogosławieństwa swego. Ja nie skarżę się... Wielka rzecz! Zsunęłyśmy się ze sceny tego świata, jak marne cienie, to... to... to... to... ludzie żyjący i zapomnieli o nas! Zresztą biedni oni teraz! Motłoch ich opanował, dusi ich, gnębi, krew i mienie z nich wysysa. Gdzież to... to... to... im biedaczkom w zgryzotach takich i troskach myśleć jeszcze o dwóch kobietach, któreby już teraz nie miały jak ani przyjąć ich, ani ugościć ani przyzwoitych stosunków z nimi utrzymać.

Umilkła na chwilę, żółta twarz jej wpół boleśnie, wpół uroczyście trzęsła się nad ubraną w biały kaftan drewnianą postacią. Po chwili, wzniosła znowu w górę wskazujący palec i rzekła:

— Róziu, to bracia nasi, myśmy wygnanki z ich koła, ale cały szacunek nasz i całe nasze przywiązanie... to... to... to...

Nie dokończyła. Zwiędłe wargi jej drgnęły i drgały długo, niby wątłe liście wstrząsane powiewem uczucia, żyjącego w tej starej, suchej piersi.

I gdy nakształt chylących się posągów, skłoniła się na poduszki i głowę swą na nich złożyła, kilka razy jeszcze w ciemnym pokoju, zaszemrały przeciągle jej westchnienia.

— Och, och, och! och, och, och!...

Parę miesięcy minęło. W przedpołudniowej porze dnia jesiennego, Rozalia, z żywszemi jeszcze niż zwykle rumieńcami na okrągłych policzkach, uśmiechnięta cała i zdyszana, wpadła do mieszkania Żyrewiczowej.

— Pani! pani drogiusieńka! — zawołała — pan Stanisław przyszedł do nas... Mama mi kazała...

Urwała nagle, bo spostrzegła Brygidę, która stojąc przy kominie, w którym palił się ogień, na przyniesionej z sionek stolnicy, kawałek mięsa siekała na kotlet.

— Mama kazała kochaną panią poprosić, żeby pani była łaskawą przyjść do nas!... — dokończyła Rozalia i znacząco okiem na Brygidę skazała.

Żyrewiczowa znaczenia mimiki tej nie zrozumiała, posłyszała to tylko, że Staś istniał w jej sąsiedztwie, zerwała się z kanapki i wypuściła z rąk batystowy kołnierzyk, który przed kilku miesiącami haftować zaczęła.

— Idę! idę! — zawołała, i cała w uśmiechach poskoczyła do małego lusterka, przed którem nastrzępiła nieco swe nioby, a wstążki u sukni przygładziła. Wybiegły obie. O kilka kroków od progu, Rozalia zatrzymała towarzyszkę i tajemniczo szeptać zaczęła.

— Nie chciałam mówić przy Bryni, bo ona i tak nie lubi Stasia, nie wiem za co i gotowaby, po swojemu, niegrzeczność mu jaką powiedzieć, a onby obraził się i długo potem do nas nie przychodził... Mama niespokojna o te procenta, ale sama dopominać się nie chce; mówiła, że dla pani najstosowniej upomnieć się i żebym po panią poszła. Trzeba koniecznie pomówić o tych procentach, bo mama niespokojna i prawdę mówiąc trochę ciężko. Niech pani tak sobie z daleka zacznie.

— Ale jak to ja mam zaczynać? dla czego to ja mam zaczynać! — z przerażeniem wołała Żyrewiczowa — mama starsza...

— Ale mamie to przykro... Pani to co innego... Jeżeli pani nie zechcesz zrobić nam tej łaski, to już ja sama muszę zacząć, bo mi mamy żal... ale jak ja to zrobię!... chyba pod ziemię zapadnę się ze wstydu. Jak tu z nim mówić o pieniądzach... upominać się... taki dobry! pudełko cukierków mi przyniósł...

Objęła Żyrewiczowę i osypując ją pieszczotliwemi nazwami, błagała, aby ona zaczęła i upomniała się. Żyrewiczowa broniła się.

— Ale cóż ja powiem? jakże ja mogę go martwić? on taki czuły, wrażliwy, a przytem mnie i jego łączy przyjaźń dawna i oparta na czemś... na czemś takiem...

Rozalia nie przestawała prosić.

— Pani droga! złota!... i ja także czuję dla niego coś... coś takiego...

Weszły do mieszkania Łopotnickiej. Staruszka we francuskim swym szalu, wygarnirowanym czepeczku i okularach w złotej oprawie, siedziała w staroświeckim fotelu, wyprostowana i sztywna jak zwykle ale z wyrazem twarzy do niepoznania zmienionym. W żółtych jej palcach połyskiwały druty pończoszki, którą zwolna i zupełnie machinalnie robiła. Z łaskawym, aż prawie błogim uśmiechem na ustach, słuchała opowiadania Stasia, który siedząc na niskim stołeczku tym, na którym zwykle siadywała Rozalia, mówił o jakiemś weselu mającem się odbyć w okolicy jego, o wyprawie panny młodej i ekwipowaniu się pana młodego. Na widok wchodzących kobiet, zerwał się z siedzenia i ucałowawszy rękę p. Emmy, ze zgrabnym ukłonem i miłym uśmiechem podał jej pudełko cukierków.

— Miałem zamiar odwiedzić stryjenkę — zaczął — ale ponieważ tu się widzimy...

— Karetę więc kupił — z zajęciem żywem zapytała go stara — i sześć koni? A jakiej maści? Ona to pewnie piękne brylanty mieć będzie, bo matka jej, Kryniewiczówna z domu, mnóstwo kosztowności miała... powiadają, że je ojciec jej, adwokatem będąc, nie bardzo czystym sposobem, po książętach X dostał. A ładnaż ona? Widziałam ją, kiedy była pięcioletnią dziewczynką... obiecywała...

Stanisław uprzejmie i obszernie, wszelkich żądanych informacji dostarczał, staruszka ożywiała się coraz więcej i czułem prawie okiem spoglądała na młodzieńca, który przynosił jej z sobą echa i odblaski ukochanego przez nią świata. Żyrewiczowa i Rozalia nie mięszały się do rozmowy, gryzły cukierki i co chwilę rzucając okiem na Stanisława, z dziecinnym prawie chichotem dzieliły się z sobą, nadzwyczaj zajmującemi, a nad osobą jego dokonywanemi spostrzeżeniami. Bawiły się wybornie.

Chwilami jednak po ogólnej wesołości tej przesuwał się niby cień. Stanisław nie był w rzeczy samej tak swobodnym, jakim okazać się usiłował, wśród śmiechu nawet wzrok mu posępniał i ręka ruchem niecierpliwości podnosiła się ku płowemu wąsikowi. Nieprzezwyciężone roztargnienia i ukłucia jakby tajonej troski, przerywały mu wątek ożywionej rozmowy. Łopotnicka ze swej strony, gdy tylko na chwilę słuchać i mówić przestawała, wydawała się czemś zaniepokojoną. Sposępniały wzrok spuszczała na pończoszkę i tak zacinała wargi, że znikały całkiem pomiędzy ostrym, ptasim nosem a suchą, w górę podnoszącą się i siwym puchem porastającą brodą. Raz, spojrzała na córkę i zcicha, śpiesznie ku niej szepnęła:

— Róziu! czy mówiłaś pani radczyni?...

Chichocące i cukierki smokcące kobiety, obumarły jakby na chwilę. Rozalia, z osłupiałemi oczami, lekko trąciła łokciem Żyrewiczową.

— Paniusiu! — szepnęła — najdroższa! proszę zacząć...

Do twarzy p. Emmy uderzyły gorące rumieńce.

— Ależ moja panno Rozalio! — odszepnęła — ja doprawdy nie mogę... taka subjekcja.

I ze spuszczonemi oczami, nerwowym ruchem, zaczęła owijać około palców długi koniec opasującej ją wstążki.

Stanisław rzucił ku dwom szepczącym i szamocącym się kobietom szybkie spojrzenie i z zaniepokojonemi oczami, szybko zawołał:

—Ale, co to panna Rozalia robi? znowu coś nowego? śliczna robótka jakaś?

Z twarzy Rozalii trysnęło uradowanie.

—Profitki paciorkowe! — zawołała i tryumfalnie podniosła w górę błyszczący i długiemi wisiorami pobrzękujący przedmiot. — Przyszły mi raz do głowy profitki, kiedy w nocy spać nie mogłam... długo potem łamałam sobie głowę nad tem, jakby to je zrobić... i zrobiłam! Wezmę za parę rubla... najmniej!

Stanisław zbliżył się i wziął w rękę owoc ów nocy bezsennej i długiego łamania głowy Rozalii, którym ona zdawała się być niepomiernie dumną i uszczęśliwioną.

— Bardzo ładne! — podziwiał — gustowne... szykowne!

— Bardzo ładne! — wtórowała mu Żyrewiczowa — te zielone paciorki szczególniej, zupełnie jak szmaragdy...

Rozalia promieniała, ale zmięszało ją znowu, ostrzejsze już i bardziej naglące niż przedtem, spojrzenie matki.

— Czy pani prezydentowa przypomina sobie Rudziszki, tę wieś, co to nad samym Niemnem, o trzy mile od Ongrodu... — zagadnął staruszkę gość.

— A jakże! dla czegożbym pamiętać jej nie miała! Za czasów moich Rudziszki należały do Drewnickiego, z tych Drewnickich co to w Pińszczyźnie...

— Niechże pani prezydentowa zgadnie, kto teraz Rudziszki kupił!

— A któż taki?

— Jakiś Bucikiewicz, ex-ekonom hrabiów Pompalińskich.

Splasnęła rękami.

Ex-ekonom! licho wie co! — zawo-

łała. — A Drewniccy pewnie bez chleba i dachu zostali! co się to dzieje, co się to dzieje na tym świecie! jak ten motłoch w górę wyłazi, a nas to... to... to... coraz niżej... coraz niżej spycha!

Teraz Żyrewiczowa trącała lekko łokciem Rozalię.

— Widzi panna Rozalia, jak mama posmutniała i tak spojrzała na panią, jak gdyby gniewała się... niechże pani zaczyna.

— Moja pani złociutka! moja najdroższa! proszę zacząć... mnie aż słabo!

— A mnie tak gorąco, jak żeby kto ukropu..

— O! mama znów spojrzała na nas i czoło zmarszczyła! już ja wiem, że kiedy mama na mnie czoło zmarszczy, to już coś wielkiego... Paniusieńko, proszę mnie ratować...

— Nie mogę, panno Rozalio... żeby tam niewiem co... przyjaźń nasza oparta na czemś takiem... on taką ma wzniosłą duszę!...

Łopotnicka raz jeszcze ostro spojrzała na córkę i Żyrewiczową, i z roztargnieniem odpowiadała na pytanie jakieś, przez Stanisława jej zadane.

— Śliczna, śliczna osoba, dystyngowana i bardzo dobrze urodzona! Odropolska z domu a rodzi ją Wiewiórkiewiczówna, z tych Wiewiórkiewiczów, co to jeden żonaty był z hrabianką Pompalińską, a drugi...

— Panie Stanisławie! — wpadł jej w mowę bardziej jeszcze niż zwykle wiolinowy głosik Rozalii.

— Co pani rozkaże? z galanterją zwracając się do niej zapytał Staś.

O, jakże niepodobną była do osoby mającej komukolwiek cokolwiek rozkazywać? Wyglądała w sposób litość budzący. Czarne jej, wesołe zwykle oczki, pod wpływem śmiertelnego przymusu, jaki samej sobie zadawała, na wierzch prawie wychodziły, czoło jej zaszło krwistym rumieńcem, który posuwał się aż pod gładziutkie, wypomadowane pasma włosów i szkarłatną barwę nadał małym uszkom; chustką do nosa zasłoniła całą dolną część twarzy. Z za tej chustki, głosik jej wydobywał się zdławiony i za każdą syllabą konający.

— Panie Stanisławie, mamie przy...kro i mnie tak...że... ale co zrobić... dro...żyz...na taka... mamie na zimę... ciepłych bucików trzeba... żeby pan wiedział... jak to przykro... ale... cóż zrobić... ja sama... niewiem... ale możeby pan mógł te... te... pro... pro... pro...

Wyrazem *procenta* udławiła się formalnie i nic już więcej prócz kilku chrząknięć pomięszanych ze stękaniem wydobyć z siebie nie potrafiła. Żyrewiczowa ze swej strony rumieniła się, to bladła naprzemian; p. prezydentowa zaś, która wprawianiem kija swego, w młynkowe wirowanie, tak dzielnie z motłochem wojować umiała, w obec przykrości sprawianej obywatelskiemu synowi, nie zmięszała się wprawdzie ani strwożyła, ale posmutniała bardzo i z oczami wlepionemi w pończoszkę, przeciągle westchnęła. — Och, och, och!

Stanisław, powstał z powagą i naprzód p. prezydentową, potem p. Emmę a nakoniec pannę Rozalią w rękę pocałował. Uczynił to w głębokiem, uroczystem milczeniu i dopiero usiadłszy, mówić zaczął:

— Winien jestem! mea culpa! ale niech szanowna pani prezydentowa i droga stryjeneczka i kochana panna Rozalia nie posądzają mię o nic złego.

Tu, dwa przerażone wykrzyki niewieście.

— My! posądzać pana! ach panie Stanisławie! jak można...

— I pozwolą mi szeroko i długo usprawiedliwić się z tej pozornej winy...

Teraz: powagi pełen lecz rozrzewnieniem przebrzmiewający głos p. prezydentowej.

— Winy... to, to, to, to, nie ma żadnej... pewno nie ma... z takiej familii dziecko, jak kochany pan Stanisław...

— Z tej pozornej winy, którą okoliczności sprowadziły i okoliczności naprawią. Jakiemi zaś okoliczności te, jeżeli szanowna pani prezydentowa, droga stryjeneczka i kochana pana Rozalia pozwolą, opowiem o nich szczerze, jasno i szczegółowo.

Ale naturalnie! nietylko pozwalały lecz bardzo prosiły o to. Żyrewiczowa mówiła, że chociaż oddawna skrzydła ma złamane, umie jednak czuć i podzielać.. Rozalia splatając małe rączki, upewniała, że dla pana Stanisława ma przyjaźń taką... taką... p. prezydentowa zaś uroczyście wyrzekła:

— Powinieneś nawet być szczerym z nami... wszak jesteśmy *en famille*, bo pani radczyni chociaż nie sama przez się, ale przez swego męża do naszej familji należy. Wszystko, co ciebie dotyczy, obchodzi i nas serdecznie... wszak jesteś jedynym węzłem, który mnie i Rózię łączy jeszcze z naszym światem.

W sposób ten zachęcony i ośmielony, Stanisław opowiadać zaczął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kilka słów o dziele „Prusacy w Niemczech".

III.

W Monachium król ma dwa pałace. Nowy pałac stoi na placu Maksymiljana, jest to budynek czworokątowy, ogromny, przypominający nieco pałac Pitti we Florencji. Stary pałac ciągnie się aż do placu Odeonu. Cztery lwy bronzowe, trzymające tarcze, strzegą dwóch wejść. Nad wrotatami, w zagłębieniu stoi statua Matki Boskiej, patronki Bawarji. W przejściu, które łączy podwórze kapliczne z podwórzem studziennem, widać ogromny kamień zawieszony na żelaznym haku i ważący 364 funtów. Książę Krzystof Albert II. podejmował go i rzucał jak piłką. W pobliżu tego kamienia można widzieć trzy gwoździe wbite w ścianę, jeden nad drugim. Gwoździe te oznaczają wysokość, do której książęta Krzysztof, Konrad i Filip mogli podskoczyć; pierwszy gwóźdź jest wbity na wysokości 12 stóp od ziemi, drugi na 9, a trzeci na 8 stóp. Wiersze staro-niemieckie wyryte na ścianie opisują te skoki nadzwyczajne dla pamięci potomności.

Skrzydło nowego pałacu, mające najmniej 800 stóp długości i otoczone ogrodem, nazywa się skrzydłem rezydencji. Tam to znajduje się sześć sal: sala Ulisesa, którą malował Schwanthaler, sala Karola W., dekorowana przez Schnorra, sala Fryderyka Barbarossy malowana przez Schorra, Jaegera i Geixmana, sala Rudolfa Habsburgskiego, sala bitew, sala tronowa i gabinet piękności. Królowie bawarscy więcej odznaczyli się w służbie Wenery, jak w służbie Marsa, bo w sali bitew jest tylko 14 obrazów, wtedy gdy w sali piękności jest 38 portretów nie licząc zdjętego na rozkaz królowej portretu Loli Montes, który robił Kaulbach.

Ludwik II. z terasy tego skrzydła urządził sobie i zamek i pałac. Zbudowano mu według planów jego i rysunków apartamenty w najdziwaczniejszym stylu rococo i urządzono ogród, w obec którego ogród ś. p. Semiramidy był tylko zabawką. W tym to ogrodzie czarownym, gdzie wszystkie kwiaty krajów słońca śpiewają namiętną symfonją wonności, król przepędza dnie zimowe, zwykle smutne i melancholiczne nad brzegami Isaru. Wchodząc ledwie wierzy się oczom, a na lokaja, który wprowadza chce się patrzeć jak na czarnoksiężnika z magiczną laseczką.

Na prawo wznosi się skała pokryta mchem, po którym czołgają się jak węże ogromne kaktusy i orchidee. W głębi przedstawiającej widok indyjski z ogromnemi wysmukłemi bambusami i bananami o szerokich liściach, widać kaskadę, która toczy swe opalowe wody z muzykalnym srebrzystym dźwiękiem. Gdy się zbliży do skały można zauważać pod pokryciem bluszczów wejście do pieczary prowadzącej do kaskady. W miarę jak się posuwa naprzód ściany podziemia rozszerzają się i przy mglistem i sinawem świetle błyszczą stalaktyty i inne kamienie światłem brylantów, szafirów i opalów.

Zostawiwszy kaskadę na prawo i idąc na lewo przechodzi się przez aleję palmową do maurytańskiego pawilonu, którego okrągła kopuła sięga prawie szklannego sklepienia cieplarni. Zasłona z błękitnego jedwabiu zamyka wejście do kiosku, w którym można się oddać religijnemu rozmyślaniu jak w kaplicy. Okna mające formę liści koniczyny, przepuszczają delikatne światło, a wielki świecznik kryształowy zawieszony w środku rzuca różnobarwne promienie na przedmioty, znajdujące się w tej świątyni. Kanapy stoją wzdłuż ścian, a w środku na stoliku z lapis lazuli znajduje się nargille z długim cybuchem, upiększonym perłami. Jest to budoar sułtański i nazywa się kioskiem rozkoszy. Ludwik II. nie wchodzi tu inaczej, jak przebrany za Turka, nakręca fortepian mechaniczny, znajdujący się za zasłoną, zapala nargille, wyciąga się na miękkim kobiercu i przepędza całe godziny poobiednie, wśród aromatycznego dymu, słuchając melodyj skrytej orkiestry.

Z pawilonu maurytańskiego mnóstwo tajemniczych i wonnych ścieżek z ławeczkami pokrytemi atłasem dla odpoczynku, a upiększonych posągami Wenery lub Sfinksów, prowadzi ku cudownym brzegom małego jeziorka błękitnego i przezroczystego jak cząstka nieba południa, które zdaje się marzyć o ojczyznie, pod nieruchomą kopułą palm. Jeziorko ma 70 stóp długości i 50 szerokości, ale potrzeba ołówka Dorego dla oddania całej piękności tego miejsca. Góry i ładne dolinki, otaczają tę szklankę wody, w której pływają czerwone rybki, kaczki kochinchińskie, i w której odbija się wiecznie sztuczne światło księżyca. A jednak przy pomocy mechanizmu

na zawołanie niebo gwiaździste pokrywa się gęstemi chmurami, błyskawice przelatują, grzmi w oddaleniu i jeziorko wzruszone burzą, zaczyna zalewać brzegi. Wtedy to król, ubrany jak Wilhelm Tell, odwiązuje łódkę od drzewa i rzuca się na spienione fale. Ludwik II. kazał nawet fotografować siebie, w tym stanie patetycznym. Opowiadają, że dnia pewnego król życzył sobie, żeby jedna z pierwszych artystek opery, z łódki na jeziorze jego zaśpiewała balladę króla Thule. Gdy śpiewaczka zaczęła drugą strofę, król przycisnął guziczek od dzwonka elektrycznego, któryrym koresponduje się z maszynistą: piorun uderzył, jeziorko wzruszyło się gwałtownie i o mało łódka nie przewróciła się.

Chatka indyjska upiększa drugą stronę jeziorka; wnętrze napełnione łukami, strzałami, tomahawkami, lancami i narzędziami do łowienia ryb. Lasek drzew egzotycznych, napełnionych papugami, przyuczonemi do wymawiania imienia królewskiego, oddziela jezioro od łańcucha cementowych gór, zbudowanych na wzór Himalai. Dekoracja ostatniego planu, przedstawia jezioro tropikalne z wyspami pokrytemi olbrzymią roślinnością i napełnionemi najdziwniejszemi ptakami.

Pałac Berg, na brzegu ładnego jeziora Starnberg, około Monachium, jest nie mniej fantastyczny. Król w Bergu mieszka trzy ćwierci roku, gdyż jest to jego miejsce ulubione. W Monachium Ludwik II. ma ogród zimowy, w Bergu zaś ogród, czyli słuszniej, wyspę róż. I tu spotykamy się ze Wschodem, z królestwem kalifa-poety, kalifa Bagdadu, ale bez Scheherezady. Historja słowika zakochanego w róży, musiała odbyć się na tej wyspie cudownej, leżącej jak ogromny bukiet pod oknami królewskiemi. Tu można widzieć wszystkie róże, jakie Bóg stworzył i jakie ulepszyli ogrodnicy, zacząwszy od dzikiej róży pięknej jak usta dziecięcia, aż do róży, która podobna do uśmiechu królowej. Jest to uroczystość dla oczu i słodkie odurzenie zmysłów. Te kwiaty otaczają zamek atmosferą cudownej woni, i może są przyczyną, iż młody król widzi wszystko w różowym kolorze. Chałupka rybaka, która dawniej znajdowała się na środku tej małej wysepki, zastąpioną została domkiem szwajcarskim. Król umieścił tam swój fortepian i w piękne noce letnie statki, pływające po jeziorze, słyszą urywki z Lohengrina lub Tanhausera. Ludzie nazywają pałac Berg, zamkiem magicznym. Nie starałem się nawet o wejście, bo to rzecz niemożliwa, gdyż straże niepodkupne go strzegą. Powiadają, że tu maszynerje są niezmiernie liczne, i że w pawilonie maurytańskim młody Almanzor często przepędza noce otoczony alabastrowemi lampami i wonnemi kadzielnicami.

Pałac zawsze jest pogrążony w największej cichości. Nigdy tu króla nikt nie odwiedza. Nawet w chwili obiadowej nie słychać wesołego brzęczenia talerzy, które świadczy, że pan jest w domu. Król jada sam jeden; Ludwik II. jest wstrzemięźliwy jak anachoreta i ma odrazę do życia materjalistycznego. Przed obiadem król zwykle objeżdża jezioro konno z giermkiem. Czasami zatrzymuje się we wsi Amerland, około biednego szewca; tu wypija szklankę wody zimnej, płaci guldena i znowu siada na konia. Zabroniono pod karą pieniężną chodzić po drogach, po których król jeździ. Dnia pewnego Jego Królewska Mość spotkał młodzieńca, wyglądającego jak góral, który bez ceremonii przechadzał się po miejscach zabronionych. Król się zatrzymał i zapytał go, kto on taki?

— Jestem Szwajcar, odbywam studja w uniwersytecie monachijskim.

— Ach, pan jesteś Szwajcarem, rzekł król, musisz więc pan na pamięć umieć Wilhelma Tella Szyllera.

— O! mogę deklamować akty całe..

— To pysznie! Bardzo jestem zadowolony z tego spotkania. Chodź pan ze mną do pałacu, będziemy tam grać Wilhelma Tella.

— Ależ panie, pałac należy do króla..

— To nic. Jestem najbliższym przyjacielem króla... Chodź... Zobaczysz że nam pozwolą wejść..

— Ponieważ pan sobie tego życzysz, więc poprobujmy. I udali się w drogę.

— Czy podoba się panu Monachium? zapytał król.

— Nie. Miasto jest nudne, a najlepszy dowód, że król prawie nigdy tam nie mieszka.

— A cóż tam mówią o królu?

— Mówią, że w gruncie jest to bardzo dobry człowiek. — Król się uśmiechnął i zapytał?

— A chciałbyś go pan widzieć?

— Nigdy... Ja panie jestem republikaninem... Powiadają, że król jest bardzo piękny, i że wszystkie kobiety szaleją za nim.

— Czy chcesz pan zjeść z nim obiad?

— Czy pan żartujesz ze mnie?

— Zupełnie nie, bo ja pana zapraszam.

— Co to ma znaczyć? czyby pan był... królem?

— Rzeczywiście tak, i biorę pana w niewolę.

Skoro przybyli do pałacu, straże prezentowały broń. Po obiedzie król grał na fortepianie uwerturę z Wilhelma Tella, a student deklamował tragedję Szyllera. Nazajutrz toż samo, ale teraz król deklamował. W końcu dnia trzeciego król odesłał gościa swego do Monachium w powozie i wkrótce przysłał mu piękny złoty zegarek, na którym była wyryta scena w Grütli.

O północy, przy świetle księżyca, można widzieć niekiedy statek odbijający od pałacu i słyszeć dźwięki gitary, brzęczącej na statku. W środku jeziora zatrzymuje się statek, ustają dźwięki, i słychać jak ciało jakieś upada do wody: to król się kąpie, nurza się i bawi falami jeziora posrebrzonemi promieniami księżyca. Ludwik II. lubi bardzo to piękne jeziorko i codziennie spaceruje po nim w mikroskopicznym statku parowym, któremu dał imię Trystan.

Pałac Lindenhof leży w górach. Wewnątrz jest umeblowany w stylu Ludwika XIV. Sala jadalna upiększona portretami kochanek tego wielkiego króla. W dyliżansie wiozącym mnie do Hohenschwangau, krawiec i żona jego mówili mi, że próbowali oglądać ten pałac, lecz odźwierny pałacowy im odpowiedział: „To rzecz niemożliwa, Jego Królewska Mość obawia się, żeby nie wszedł dziennikarz jaki, bo nie chce, ażeby mówiono o jego pałacach.

Pałac Hohenschwangau malowniczo zawieszony na szczycie skały. W około niego wysokie góry, pokryte poważnymi lasami sosnowymi, a u stóp romantyczne jezioro, mieszkanie mnóstwa łabędzi. Król zaprzęga je do statku złoconego w formie muszli i udaje się na przejażdżkę, wtedy gdy śpiewacy, umieszczeni na brzegu, śpiewają arje z Lohengrina i gdy księżyc blademi promieniami oświeca fantastyczny bieg łań wypchanych i poruszających się za pomocą mechanizmu umieszczonego w ich brzuchu. W czasie ostatniego wybuchu Wezuwjusza, królowi zachciało się mieć własny wulkan. Wezwał więc do Hohenschwangau dwóch profesorów geologii z uniwersytetu i zamówił wulkan. Przystąpiono do roboty, wykopano wielki dół na wierzchołku góry, napełniono go prochem, siarką, naftą i węglem, a następnie zapalono. Widok był przepyszny. Straże ogniowe przyleciały z całej okolicy pięciomilowej, gdyż sądzono, że Prusacy wysadzili w powietrze pałac króla.

Na jeziorze Hohenschwangau król chciał także urządzić burze na zawołanie. Postawiono więc ogromne maszyny z kołami dla wywołania fal wielkich i szumu naśladującego burzę.

Słudzy pałacowi muszą być muzykantami. Tworzą oni rodzaj chóru, który co wieczór aż do północy przygrywa na dętych instrumentach wtedy, gdy król, nachylony nad brzegiem baszty wiszącej nad jeziorem, marzy o gwiazdach.

Jeden z biografów Ludwika II. opowiada, że król przepędził raz całą zimę w pałacu Hohenschwangau. Na środku jednej doliny kazał wybudować drewnianą basztę z zewnętrzną galerją. Było to w miesiącu lutym. Wiatr pędził śnieżne chmury i zasypał pola białym całunem. Król wstąpił na basztę, a muzykanci uszykowali się na galerji. Wtedy to przyprowadzono wszystkie jego konie w liczbie trzydziestu, które w ciągu piętnastu dni tylko owsem karmiono. Na dany znak muzykanci na trąbach zagrali, zahuczała maszyna na jeziorze i wystrzelono ze wszystkich armat zamku od razu. Przestraszone konie zerwały pęta, zarżały dziko i przerażone rzuciły się na wszystkie strony, jak gdyby piorun wśród nich uderzył. Znaleziono potem kilka koni w stawie, kilka skaleczyło się, a resztę przyprowadzili włościanie, złowiwszy ich w górach.

Ludwik II być może za surowy, dla pięknej połowy rodzaju ludzkiego, nie jest srogim dla zwierząt. Podziela on nawet poglądy Kaliguli pod tym względem, a konie, które męczy, zajmują w jego sercu więcej miejsca, jak jego ministrowie, bo jest on namiętnym jeźdźcem. „Koń, jest to piedestał bohatera“, powiedział Lamartine i król Ludwik nigdy nie pozwolił malować siebie inaczej, jak na koniu bojowym, białym jak pióro strusie Henryka V. Król na równi z muzyką Wagnera lubi fantastyczne wyścigi końskie i steeple chasse rycerzy legendowych. Nieraz, o północy siada na konia i rzuca się w pola przeskakując przez rowy, płoty i przepływając przez rzeczki... O wschodzie słońca król znajduje się na szczycie góry. Kilka lat temu, wjechał konno na szczyt Herzoglandu; górale polujący na kozice, zbiegli się ze wszystkich stron, sądząc, że król zechce z nimi zapolować, lecz Ludwik pozostał trzy dni w domku na szczycie góry, nie wychodząc nigdzie, zajęty czytaniem dzieł Fenelona, a potem odjechał w nocy tak, jak przyjechał. Strzelcy chcieli mu oświecić drogę pochodniami, lecz król ich oddalił i o mało karku nie skręcił w tej nocnej podróży.

Czy to w Bergu, czy w Lindenhofie, czy w Monachium, królowi są koniecznie potrzebne dwie rzeczy: fortepiano i światło księżycowe. Bez fortepian dzień byłby dla niego wiekiem; bez światła księżycowego nie mógłby król zasnąć. Gdy Bóg dobry nie zapala tej lampy nie-

bieskiej, robią mu światło księżycowe za pomocą oświetlenia elektrycznego. Przyrządy stosowne znajdują się we wszystkich królewskich sypialniach. W Monachium sufit ma tysiące drobnych dziurek, za któremi zapala się gaz. Przedstawia to dość dobrze niebo pokryte gwiazdami. W podróży król posługuje się przenośnem ekonomicznem swiatłem księżycowem, które zawiesza się jak lampa w pokoju.

Te dziwactwa, ta dusza dziecięca w ciele dojrzałego człowieka, ten król stworzony do rządzenia narodem poetów i muzykantów, nie należy do naszego wieku, kłaniającego się brutalnej sile. Ludwik II. byłby znakomitym królem w wieku minesingerów i zaklętych dziewic. Dziś go nie rozumieją; należy on więcej do legendy jak do historji. Ten kto siada na tron, nie ma prawa zasiadać do fortepianu. Orfeusz gdyby dziś przyszedł na świat, to wziął by nie lirę do ręki, ale ulepszony karabin.

PRZYPOWIEŚCI*)
WINCENTEGO POLA

Pod szczęśliwą ten się gwiazdą
Tutaj rodził, komu padło:
Remizowe posiąść gniazdo, **)
Co w ukryciu sobie siadło.

Tylko dzielny może sprostać,
Tylko mężny może dostać,
Tylko wierny dopomoże,
Tylko czysty obmyć może;
Więc takiego staw na czele,
Aby grzechów poniósł wiele
I przy lada sprawie marnej,
Jako kozioł padł ofiarny.

Krzyż to Pański, bracie! władza —
Oj i biada, biada temu!
Kto go niesie po bożemu,
Jeśli świat go wynagradza.

Nie przebije muru czołem,
Nie dopędzi szczęścia koniem,
Nie człek kręci świata kołem,
Koło świata idzie po niem:
A jest taki, co niem kręci,
I tych dziejów nić namotał —
Więc to bracie! miej w pamięci,
A nie będziesz się kłopotał.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Całe miasto jeszcze ma głowę zaprzątniętą Sarą Bernhard i odbywają się gonitwy o bilety z całą energją i zapalczywością. Byliśmy świadkami, jak za lożę pierwszego piętra ofiarowano szczęśliwemu posiadaczowi 80 złr., gdy rzeczywiście kosztowała tylko dwadzieścia. Zresztą, nim nasza kronika dojdzie rąk czytelników, już odbędzie się jedno przedstawienie w teatrze, a skutkiem czego wszystkie cieplarnie tutejsze zostaną ogołocone z kwitnących kwiatów na bukiety i wieńce. Peszt na pierwszem wystąpieniu tej genjalnej artystki, przywołał ją 32 razy, a scenę zasypał kwiatami, spodziewać się więc można, że miasteczko nasze, nie da się prześcignąć Pesztowi i wszystkie owacje podwoi.

Narzekaliśmy w przeszłej kronice, że publiczność nasza tak pochopna do wszelkich owacji i składek na rzecz zagranicznych wielkości— zapomina dość często o bliższych sobie obowiązkach, pozwalając np., aby weterani z roku 1831, dziś starcy i niedołężni, doświadczali niedostatku pierwszych potrzeb do życia. Otóż pod tym względem możemy się z czytelnikami podzielić bardzo pocieszającą nowiną, że sprawa ta jest na bardzo dobrej drodze i w rękach, które niezwykły na wiatr puszczać tego, co usta przyrzekną. Weterani znajdujący się w niedostatku, dostaną wsparcie, a z jakich funduszów, nie możemy w tej chwili jeszcze wyjawić. W krajach mających niezależny swój byt narodowy, zapewne nie zdarzyłby się ten wypadek, żeby inwalidzi poświęcający krew swoją za sprawę ojczyzny, na starość nie znaleźli spokojnego kąta, gdzieby jako tako ostatnie dni żywota przepędzić mogli. Wszędzie są domy inwalidów, są retretowe pensje i wsparcia. My niestety, nic z tego nie mamy; więc czyż nie jest obowiązkiem reprezentacji kraju, jaką posiadamy w Sejmie, aby tę lukę w urządzeniach naszych godnie i z honorem zapełnić mogła? Powiadają nam, że podnoszenie tej sprawy w sejmie, mogłoby być nie dobrze w pewnych sferach widzianem przez wzgląd na sąsiednie stosunki z państwem, przeciw któremu nasi weterani walczyli. Otóż upewnić możemy tych bojaźliwych panów, że obawy ich są przesadzone, albowiem ten sam rząd rosyjski do dziś dnia jeszcze wypłaca wsparcia inwalidom z byłego wojska polskiego i nie zabrania zbierania publicznie składek, na rzecz zesłańców przebywających w Syberji, jak to ma miejsce co do staruszka Malczewskiego, weterana z czasów Napoleona I., przebywającego w Syberji, o czem czytając „Kurjera Warszawskiego“, każdy przekonać się może. Nie trzeba zatem być więcej bojaźliwym, niż prosta przezorność nakazuje, tembardziej jeżeli ten sam Sejm ma odwagę wyznaczać coroczne wsparcie dla wypędzonych kapłanów Unickich z Podlasia, którzy pewno nie są milsi rządowi rosyjskiemu, niż starcy, poddani tutejsi, walczący w legalnej armji polskiej w roku 1831.

Koło literackie, którego Wydział został na ostatnich wyborach nieco odmieniony z powodu rezygnacji dotychczasowego prezesa p. Liskego złożonego chorobą, również ma zamiar rozszerzyć działalność w kierunku więcej użytecznym dla literatury. A rzeczywiście potrzeby nasze pod tym względem są bardzo liczne i naglące. Nie mówiąc już o sprawozdaniach rocznych z całego ruchu naukowego, literackiego i artystycznego, jaki się na ziemiach dawnej Polski odbywa, nie mamy dotąd ustalonej pisowni i interpunkcji, nie mamy porządnego i wyczerpującego opisu fauny i flory, choćby galicyjskiej, nie mamy opisu kraju pod względem etnograficznym, pod względem zabytków przeszłości, i tym podobnych dzieł dających obraz dzisiejszego stanu kraju, a mogących na przyszłość służyć za drogocenny materjał historyczny.

Nie mamy również porządnej i zupełnej encyklopedji powszechnej. Wydawana kiedyś przez Orgelbranda w Warszawie już wyczerpana, a nawet w tym stanie, jak jest, potrzebuje dziś gwałtownych dopełnień, choćby dlatego, że wychodząc w Warszawie pod cenzurą, musiała wiele rzeczy pominąć, a te, które dozwolono umieścić, modyfikować podług wymagań owej cenzury, nie zawsze zgodnych z prawdą. Niżej pod względem ogólnej oświaty stojący od nas, Kroaci, Serbowie, Czechy, już to wszystko mają i to w przepysznych edycjach z widokami miejsc zasługujących na uwagę — z mapami i planami — u nas jakoś nikt o tem nie myśli. Akademia krakowska inny sobie obrała zakres swej działalności, a księgi przez nią wydawane, więcej mogą interesować uczonych, niż nas zwyczajnych śmiertelników, którzybyśmy chcieli i nasze skromne potrzeby zaspokoić. Dlatego cieszymy się niewymownie, że koło literackie chce podjąć takie prace, i daj Boże, aby mu się to udało.

Stowarzyszenie Techników polskich, zaproponowało zjazd w roku przyszłym do Krakowa, a w programie obrad przyszłego kongresu, postawiło między innemi potrzebę ułożenia słownika technicznego.

Nareszcie musimy podnieść konkurs tutejszego Magistratu, ogłoszony na napisanie w dwóch tomach historji panowania Jana III. Sobieskiego dla uczczenia pamiątki trzechsetletniej rocznicy odsieczy Wiednia. Nie zaprzeczamy, że Magistrat miasta Lwowa, wyznaczając na ten cel dwie nagrody, jednę 3000 zł., drugą 1500, dał dowód wysokiego patrjotyzmu i dobrych intencji, tylko zdaje nam się, że niezbyt praktyczną obrał drogę konkursową i za krótki wyznaczył czas dwuletni na napisanie dzieła, potrzebującego trzy razy tyle lat, choćby ze względu, że same studja materjałów już znanych, a kwerenda po archiwach nieznanych, w dwóch latach nie da się uskutecznić. Zresztą, kto będzie chciał podejmować tak trudną i mozolną pracę, połączoną ze znacznemi kosztami, nie będąc pewny, czy jego dzieło dostąpi pierwszeństwa? Historja, to nie dzieło sztuki, które zawsze mieć może wartość, choćby je komisja konkursowa odpowiedniem do programu nie uznała. Dlatego zdaje nam się praktyczniej ta rzecz dałaby się osiągnąć, gdyby odrazu wybrano jednego ze znanych historyków naszych, dających rękojmię znajomości przedmiotu i talentu, aby wspomnione dzieło napisał. Stało się, konkurs ogłoszony i przykroby nam było, gdyby szanowny magistrat doznał zawodu.

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

Guy de Lissac zajmował nie wielki pawilon, w guście pałacyku, przy ulicy d'Aumale... Pod względem urządzenia tego kawalerskiego gniazdka, zdał się on w zupełności na jednego z owych sprytnych tapicerów, co dogadzając będącemu dziś w modzie zamiłowaniu staroświeckich mebli, umieją drogo sprzedawać spanoszonym giełdzistom i rozgłośnym pięknościom z pół świa-

---

*) Wiersz ten, nigdzie dotąd niedrukowany, udzielił nam łaskawie przyjaciel poety, szan. p. prezydent January Poźniak.

**) Remiz, ptak z rodzaju wróblowatych, mniejszy od czyża. Gnieździ się i przebywa w Azji środkowej i niektórych krajach Europy nad wodami. Słynny z gniazd sztucznie wyrabianych, w czem przewyższa wszystkie inne ptaki. U nas pospolity w Lubelskiem i na pobereżach Wisły, lecz mało znany. Lud wierzy, że ktoby znalazł i posiadł gniazdo tego ptaka, posiędzie szczęście i dostatki, tudzież jakoby okadzenie bodaj drobną cząstką remizowego gniazda, było środkiem wszelkiego rodzaju choroby uzdrawiającym. (P. R.)

tka, fałszywe Clodyony i niemniej sfałszowane wyroby Boulle'a nabyte za bezcen na licytacjach.

Lissac, umiejący, z własnego już doświadczenia, kierować się doskonale na mętnych falach paryzkiego życia, uważał za rzecz nader wygodną, zbudzić się pewnego poranku w kompletnie urządzonym pałacyku, przyozdobionym dywanami i chińskiemi atłasowemi portjerami, pełnemi japońskiej porcelany, szkatułek z epoki odrodzenia i glinianych posążków, wykrzywiających się na swych rzeźbionych podstawkach. Tapicer posiadał smak dobry, Lissac miał pieniądze. Wynikło ztąd, że ruchomości były autentyczne, a całość mieszkania zalotnie ponętną.

Można było wprawdzie zarzucić, że kawalerskie to mieszkanie nie miało na sobie żadnej wyłącznej cechy, nic takiego coby zdradzało osobistość tego, który w nim stale przebywa, jego gusta, upodobania, pociąg do jakiej wyłącznej epoki, czy to pod względem mebli, obrazów czy książek. W tym zbiorze osobliwości przeróżnych, gdzie wszystko się razem mięszało, istotne osobliwości obok bawidełek z kości słoniowej, figurki z saskiej porcelany przy mistrzowskich zwierzątkach bronzowych Barye'go, znużone oko koniecznie chciałoby spocząć na jakimkolwiek charakterze. Tymczasem, wytworne mieszkanko z łóżkiem lakierowanem na biało, rzeźbionem w dzióbki ptaszząt, jak łóżko królowej w Trianon i z kotarą w guście Ludwika XV, zakrawało więcej na apartament młodej kobiety z pół świata.

Musiał to i sam Lissac zauważyć, bo tu i ówdzie porozwieszał to szable tureckie, to strzały malajskie, to znów sztylety w ponsowych aksamitnych pochwach — a umieszczona na ścianie przedpokoju armatura, gdzie delikatne szpady w stalowej oprawie, krzyżowały się z długiemi pałaszami szkockiemi o srebrnej rękojeści — uprzedzała wchodzącego, że pałacyk ten, pomimo dominującego w nim zapachu Ylang-ylang, nie jest mieszkaniem jakiejś głośnej piękności, ale Paryżanina czystej wody.

Guy prowadził życie swobodne, bez zajęcia, zostawiając szkolnemu swojemu koledze Vaudreyowi wielką politykę i rozkosz, napawania się „słodyczami władzy", jak zwykł był mawiać tonem lekkiej paryzkiej pogawędki — dla niego wystarczał sam Paryż taki, jakim on go rozumiał, to jest Paryż bawiący się, nęcący swemi przyjemnościami, pierwszemi reprezentacjami w teatrach, ów Paryż, pełen niespodzianek, prześlicznych kobiet i woni skandalu i zepsucia, będącej niejako właściwą wonią i czasu i kół w jakich przebywał.

Bez żalu, jedna po drugiej, przepuścił już dwie znaczne fortuny i spróbował cokolwiek sił swoich w dziennikarstwie, wygrywał na giełdzie, przegrywał w klubach, znający wszystkich i przez wszystkich znany, ulubieniec kobiet i postrach mężczyzn, o wykwintnej powierzchowności i rzeczywiście szlachetnem pochodzeniu, co pozwalało mu przebywać wszelkie kałuże bez zawalania się w nich, znajdując zawsze czy to jakiegoś zapomnianego wujaszka, czy uczynnego przyjaciela, którzy w danym razie płacili za niego długi karciane lub inne rachunki; w chwili obecnej dostatnio uposażony, z wolnem sercem a pełną kieszenią, rad z siebie i życia, które uważał jako pobyt w więzieniu, wymagający ciągłego uprzyjemniania, paryżanin duszą i ciałem, gorzej jeszcze, bo parafianin przesiąkły do szpiku duchem paryzkim, jak niektórzy chorzy przeładowani morfiną; oceniający mężczyzn z ich dowcipu, akcje podług kuponów, a kobiety z ilości guzików przy rękawiczkach; sceptyk do najwyższego stopnia, z ostrym języczkiem a z umysłem wyrozumiałym; młody jeszcze pomimo lat czterdziestu i utrzymujący nawet, że to najpiękniejszy wiek mężczyzny — wiek szczęścia w majątku i w miłości — Guy de Lissac pędził życie zgodnie z biegiem czasu i jego wymaganiami, umiał sobie wyperswadować, że dzień śnieżny lub dżdżysty nie trwa dłużej od dnia pogodnego, i że koniec końców, noc choćby najgorsza, dość prędko przemija.

Po rozstaniu się poprzedniego wieczora z Vaudreyem, zabawił do późnej nocy w klubie swoim, przy ulicy Vendôme. Grał w karty i wygrał. Zasnął czytając najnowszą powieść, bardzo drobnostkową w psychologicznych badaniach, ale bardziej jeszcze nudną — i obudził się późno z lekkim bólem głowy. Ramy okien i przeciwległe domy popruszone były śniegiem. Dachy znikły pod tym olbrzymim białym obrusem, zlewającym się na krańcach z szarobiaławemi chmurami, okrywającemi niebo.

— Szkaradny czas — pomyślał Lissac. Ale tem lepiej — dodał po chwili — nikt nie przyjdzie.

— Nie przyjmuję dziś nikogo! — zapowiedział służącemu — w podobną porę przychodzą tylko tacy, co chcą pieniędzy pożyczyć.

Kończył śniadanie popijając herbatę z japońskiej filiżanki, kiedy służący, bez względu na otrzymany rozkaz, przyniósł mu bilecik napisany ołówkiem na kawałku papieru, wydartym z książeczki notatkowej.

— Ta osoba, proszę pana — rzekł — nie przyszła za pożyczką!

Pomimo takiego zapewnienia, Lissac z wielkiem lekceważeniem wziął papier do ręki, wnioskując bardzo naturalnie, że musi to być strasznie potrzebnicki ów gość, co nie zdobył się nawet na wylitografowanie swego nazwiska na bristolu, założył zwolna binokle, odcyfrował kartkę, a potem, powtórzywszy kilkakrotnie z niemałym podziwem: „Ho! ho! patrzcie! patrzcie!" wstał, mówiąc do służącego:

— Prosić!

Rzucił na krzesło adamaszkową serwetę i mimowolnie przejrzał się w zwierciedle, jak zalotnisia udająca się na schadzkę, poprawił na sobie ubranie i przewiązał krawatkę pod wywiniętym kołnierzykiem jedwabnej porannej koszuli...

Przyglądał się jeszcze czy obszerne pantaliony zgrabnie przylegają do czerwonych safianowych pantofli, kiedy we drzwiach ukazała się młoda kobieta, a unosząc ponad głową żółty atłas portiery, przemówiła dźwięcznym głosem i z uśmiechem na ustach, odsłaniającym prześliczne ząbki:

— Dzień dobry, Guyu!

Lissac szedł ku niej z wyciągniętemi rękami.

Ona opuściła portjerę i przez chwilę potrzymawszy wzniesione w górę maleńkie swe rączki, duńskiemi okryte rękawiczkami, następnie śmiało opuściła je w jego dłonie i śmiejąc się, spojrzała mu oko w oko.

Lissac wydawał się nieco zdziwionym, przyglądał się jej, jak się przygląda osobie, której się dawno nie widziało, a podczas tego badania młoda kobieta podniosła głowę i z twarzą zwróconą ku światłu, zuchwale poddała się przeglądowi.

— Nie spodziewałeś się mnie, prawda? — rzekła.

— Muszę przyznać...

— Możnaby się nawet założyć, żeś pan ani pomyślał o mnie.

Guy chciał się schylić i za całą odpowiedź złożyć pocałunek na delikatnych paluszkach, ale przypomniał sobie w tej chwili, że od czasu gdy się nie widzieli, ciemne jego włosy niezmiernie się przerzedziły — pozostał więc w tej samej wyprostowanej postawie i odrzekł ze zwykłą sobie zarozumiałością:

— Otóż, mylisz się pani, bo owszem, bardzo często o niej myślę!

Jednym ruchem oka zbadała całe otoczenie, przyjrzała się meblom, obiciom na ścianach, rysunkom i obrazom wraz z ich ramami, usiadła przed kominkiem i zakładając nogę na nogę — rzekła:

— Mieszkasz bardzo ładnie! Już to widać, mój kochany, że zawsze masz dobry gust!

— Mniej go mam dzisiaj, niż dawniej, droga moja Marjanno — odpowiedział Lissac z wyraźnym akcentem komplementu.

Marjanna rozśmiała się wzruszając ramionami.

— Czy znajdujesz, żem się bardzo zestarzała? — zapytała nagle.

— Owszem, odmłodniałaś jeszcze.

— Wolne żarty.

— Na serjo! Wyglądasz, jakbyś przed chwilą przystępowała do pierwszej komunji.

— Pod jaką postacią? — zagadnęła Marjanna, ciągle z tym dźwięcznym, urywanym i nieco nerwowym śmiechem.

Lissac ciekawie przyglądał się jej, siedzącej przed kominkiem.

Jasny, migotliwy blask ognia, złotawem i różanem odbiciem dodawał życia blademu licu młodej kobiety, a szare jej oczy iskrzyły w tem odbiciu jak węgle żarzące. Jasną swą głowę zwróciła do Lissaca, maleńki zaś zadarty nosek i nieco za wielkie, drażniąco namiętnie usta, miały w sobie coś wyzywającego i niedostępnego zarazem.

Okrycie jej, obszyte wytartem futerkiem, zsunęło się z jej ramion, odsłaniając kształtne formy figury, ujęte w obcisłą sukienkę i białą szyję, na którą spływały bujne sploty rudawych, miedzianej barwy włosów.

Jednocześnie, z nerwową niecierpliwością zdjęła rękawiczki i bezwiednie zwijała je w rękach.

Miała ona w sobie elegancję wrodzoną, wykwintność bez przymusu i wdzięk naturalny, onieśmielony cokolwiek z użytym obecnie ubiorem, a Guy, doskonały znawca ludzi, umiejący jednym rzutem oka odgadywać materjalne ich położenie, domyślił się zaraz pewnego niedostatku u kobiety, którą znał przed czterema czy pięcioma laty tak zachwycającą zawsze, w ogłuszającym zgiełku szalonego życia i w sztucznem oświetleniu przemijającego zbytku, zgasłego dziś jak spalona rakieta!

Marjanna Kajser!

Ze wszystkich kobiet jakie spotykał w swem życiu, żadnej zapewne tak silnie jak jej nie kochał! Kochał ją miłością bezwzględną, ślepą, roz-

gorączkowaną, dochodzącą niekiedy do szaleństwa. Bo też i Marjanna nie była zwykłą lekkomyślną kobietą: zbyt dumna aby mogła zostać zalotnicą, za uboga, aby wyjść mogła za mąż, była ona dezerterem z pospolitych warunków życia, zbuntowanym wyzwoleńcem, nie mogącym poddać się dobrowolnie upokarzającym wymaganiom losu.

Sierota, wychowywana przez swojego stryja, Szymona Kajser, malarza udającego wielką powagę, nie troszczącego się o nic na świecie, z wyjątkiem swej sztuki, uznającego moralność, godność i wyższość tylko w tej sztuce, a który przez własną swą niesumienność, dozwolił rozwinąć się niby jadowitym roślinom, wrzącym marzeniom swej synowicy; obok więc takiego człowieka, w zepsutej atmosferze, napojonej starokawalerskiemi nałogami, Marjanna spędziła przykre lata młodości w opuszczeniu i w biedzie, podczas gdy wszystkie instynkta i skłonności ciągnęły ją niepokonanie do zbytku.

Wzrastała tak w dziwacznem otoczeniu modelów i młodych adeptów sztuki malarskiej, wśród dymu fajek i paradoksów. Z początku, małem będąc jeszcze dzieckiem, stanowiła zabawkę dla stryja, malarza bez talentu, który dla swojej przyjemności, pozwalał jej biegać po pracowni, skakać jak kot i przewracać się po sofach. Później, nakładała mu fajkę i paliła w piecu.

W pracowni było mnóstwo książek. Marjanna czytała je wszystkie, chciwie, bez wyboru, przyglądając się ciekawie obrazom, przedstawiającym namiętne uściski zakochanych w cieniu ogrodowej altany, przy czem ślicznie odznaczały się jedwabne spodniczki, rysunki Eisena lub Moreau. Przedwcześnie też dojrzała, zanim Kajser spostrzegł się, że z dziecka zrobiła się kobieta, zdolna wszystko zrozumieć i ocenić.

Fałszywy ów prorok cały pogrążony w kompozycjach mytycznych, w których, jak twierdził, malarstwo unosząc się wśród obłoków, zdobywało prawdy filozoficzne, ów myśliciel, którego pędzel tworzył zagadki życiowe, jakby malował szyldy, ani domyślał się nawet, że tuż obok siebie, ma młodą dorastającą istotę, również jak on rozkapryszoną, bezwiednie przyciąganą powabem przepaści bez granic, ale szukającą nie tajemnic zaobłocznych, lecz tajników życia, łaknącą urzeczywistnienia dręczących ją marzeń, niepokojonej i rozgorączkowanej tysiącem pokus.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PISMIENNICTWO.

Nowi ukraińśki pisni pro hromadski sprawy (1764 - 1880) przez M. Dragomanowa. Pod tytułem tym ukazała się w Genewie praca bardzo ciekawa, któraby mogłaby być, o ile jest ciekawą, o tyle ważną, jako analiza historyczno-krytyczna tych źródeł dziejowych, jakiemi są pieśni ludowe, gdyby, niestety! autor umiał był zająć stanowisko objektywne i oceniać fenomeny dziejowe bezstronnie. Niestety! autor stanowiska tego zająć nie umie. Punkt wychodni, fałszywy, prowadzi go do fałszywych wniosków i konkluzyj. Należy on do tej, przez Kostomarowa założonej szkoły historycznej, która badania dziejowe bierze nie za zadanie naukowe, lecz za środek do rozwiązania zadania politycznego, specjalnego, polegającego, jak na dziś, na wyjednaniu dla Rusi u rządu moskiewskiego bytu znośnego narodowego. Ztąd, hajże! na Polskę. Niech się Moskwa przekona, że Ruś Polski nienawidziła po owe czasy i nienawidzi — nienawidzi jej dziś, przy końcu wieku XIX, tak samo, jak w wieku XVII, że zatem, z tej strony, Moskwa, w stosunkach swoich do Polski, może być spokojną zupełnie. Zapatrywanie się takie, okrasza pracę p. M. Dragomanowa i wyrządza jej krzywdę ogromną.

A jest ono fałszywem z punktu naukowego. Szkoła Kostomarowska, szkoła historyczna, błądzi w jednym, podstawowym punkcie, w tem mianowicie, że nie pojmuje zgoła Polski historycznej: nie wie, co to to było. Polityka, i do tego błędna, oczy jej zasłania. Polska dla niej, to szlachcic z batogiem nad chłopem stojący—szlachcic, rozumie się Polak, chłop Rusin. Około obrazka tego, nie nader ponętnego a prawdziwego, nasnuwa opowiadania, wywody i krytyki wszystkie, odnoszące się tak do wypadków, nad któremi wieki przeszły, jako też i do wypadków współczesnych. Wiek XVI schodzi się z XIXm, XIXty z XVIII i XVIIm; wszystko to się miesza w jeden obraz grozy tragicznej pełen, nad którym świeci nadpis niby dantejski: „Rusinie, rozstań się z wszelką co do Polski nadzieją!" — co do tej Polski, o której, gdyby szkoła istotnie naukę na względzie miała, wiedziałaby, iż była ona wyrobem spólnym; że Rusini, do wytworzenia onej, tak samo rękę przyłożyli, jak Polacy i Litwini; że Polska dla Polaków, Rosinów i Litwinów była państwem związkowem, federacyjnem, ojczyzną spólną, tak samo, jak jest Szwajcarja dla Szwajcarów; że się rozwijała ona odpowiednio do żywiołów, jakie w skład onej wchodziły; że niewola społeczna była u niej jedną z faz rozwoju dziejowego, tak samo, jak w Europie całej; że nakoniec, pojęcia „ojczyzna", „państwo" chłopu na Ukrainie były tak samo obcemi, jak chłopu w Mało i Wielko-Polsce, na Litwie, w Niemczech, we Francji, w Anglji, we Włoszech, wszędzie. Na wiadomości i na pamiętaniu o tem wszystkiem, nauka by zyskała, a i.. polityka nie straciła: bądź co bądź bowiem, Polskę taką, jaka była, wytworzyła w przeszłości potrzeba dziejowa: i taż sama potrzeba, rozpatrywana jako zadanie przyszłości, wykazuje lukę wielką, jaka powstała z tej racji, że Polski zabrakło. Brak ten tak dalece dotkliwie czuć się daje, że samemu Bismarkowi snuje się Polska jakaś po głowie. Kombinacje polityczne mężów stanu raz po raz potrącają o nią — i to obecnie, kiedy ją niby pogrzebano i całunem przykryto. Więc by osobliwość tę polityko-historycy Kostomarowskiej szkoły na uwagę brać powinni i nie tak bardzo uderzać w strunę nienawiści do tej Polski, o której, w obec rozkładu, jakiemu podlega Moskwa, powiedzieć nie można na pewne, że nie będzie, ale o której na pewne powiedzieć można, że jeżeli z pod całuna wyjdzie, to nie inna, tylko federacyjna. Taka już jej natura — natura, odpowiadająca zarówno, tak jej własnym bytowym warunkom i potrzebom, jakoteż chwili obecnej dążnościom, ogniskującym i w samorządzie społeczno-politycznym, który, zdaniem naszem, stanowi sens ogólny i praktyczny wszelkich ruchów i nurtowań, socjalistycznych nawet.

Analiza p. M. D. rozpada się na trzy części, nie oddzielone jedna od drugiej w duchu, ale oddzielające się same przez się. Najprzód rozbiera te pieśni, w których lud ruski manifestuje pojęcia swoje państwowe, następnie te, w których zapatrywanie się na położenie własne społeczne zdradza, wreszcie te, w których ocenia stosunek swój w odniesieniu do zwierzchnictw, jakim podlega w chwili obecnej pod panowaniem moskiewskiem i pod panowaniem austrjackiem. Dodać winniśmy, że autor nie daje pieśni *in extenso,* lecz w wyjątkach, służących jako przykłady do poparcia rozumowań, zkąd wynika, że analiza wypada *a priori* — szkoda. Wolelibyśmy metodę odwrotną.

Z. M.

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

Ostatnie dwa tygodnie obfitowały nielada w niespodzianki: rozczarowała nas p. Tiefensee, poprzedzona odgrzewaną reklamą jako primadonna opery paryskiej; rozczarowała nas poniekąd komiczna opera o wiele obiecującym tytule, ze względu na słynny Dumasowski romans, *Trzej muszkieterowie,* a natomiast sowicie nas wynagrodziła p. Kamińska, o której zrazu powątpiewano, ażali podoła szczęśliwie wszystkim trudnościom partji Małgorzaty w *Fauscie.*

Co do p. Tiefensee dała się nasza Dyrekcja złowić na plewy jakiemuś niesumiennemu ajentowi, artystka ta bowiem, dzielna prawdopodobnie spiewaczka przed laty, powinna już oddawna używać dobrze zasłużonego stanu spoczynku. Czas wszystko niszczący nielitościwie się z nią obszedł, pozbawiając wszystkiego, co widza na pierwszy rzut oka przychylnie a przynajmniej pobłażliwie usposabia, a zatem, mimo resztek głosu, przypominających świetną przeszłość, pannę Tiefensee... wygwizdano, powiedzmy prawdę — niezasłużenie. Dla artystki o takiej przeszłości, byłaby już grobowa cisza w auditorium dostateczną wskazówką, wówczas byłaby ona naszą scenę opuściła z cichą może rezygnacją, ale bez niezasłużonego upokorzenia. Nasza publiczność, unosząca się czasem zbytecznie pozorami, pozwoli sobie powiedzieć, że gdybyśmy do wszystkich podobną chcieli przykładać miarę, primadonną naszej opery, czy też operetki, byłaby panna Koźmian!

D'Artagnan czyli Trzej muszkieterowie zawdzięcza swoje małe powodzenie, przeważnie rozwlekłości licho sklejonego libretta i fatalnej po większej części grze artystów, którzy czasami spiewają jako tako, ale skoro przyjdzie im posługiwać się językiem zwykłych śmiertelników, do czego w D'Artagnan, aż nadto sposobności, przenoszą nas akcentem w przyjemne kółko rodzinne „Onufrego z Bajek." Muzyka sama, chociaż uboga w motywa i melodyjne, łatwo do ucha przekradające się arje, nie jest przecież ze wszystkiem zalet pozbawiona, owszem, uwertura i chór wstępny, pieśń muszkieterów, pieśń Gaskończyka, kuplet cukiernika Plancheta, finał aktu drugiego, romans Buckinghama i chór w chwili składania przysięgi wierności, są to numera, których się słucha z przyjemnością. Cokolwiek więcej polotu w ogólnym nastroju muzyki, a więcej zręczności w librecie, byłoby temu utworowi, dotąd nieznanego u nas kompozytora Rajmanna, dodało wiele powabu i lepiej zaleciło publiczności. Wystawa sztuki była bardzo staranna, przyjęcie chłodne, mimo wesołej gry p. Skalskiego.

Pani Kamińska w Małgorzacie przekonała nas, że przybywa nam w niej inteligentna artystka opery. Głos jej mezzo-sopranowy, okazał się dostatecznie silnym, szkoła dobra, opracowanie bardzo staranne, akcja dramatyczna nadspodziewanie szczęśliwa, dodajmy do tego uroczą postać pani Kamińskiej a pojmiemy łatwo, że p. Kamińska posiada wszystkie warunki do utorowania sobie pięknej przyszłości artystycznej. Jakkolwiek nas artystka pierwszym swym występem nadspodziewanie zadowoliła — niepodobna przecież jeszcze dziś wyrokować do jakich wyżyn jej talent się rozwinie, nie można bowiem zataić, że przy pierwszym występie powodowała się ona więcej mechaniczną pamięcią, niż iście muzykalną intuicją. Świadczy o tem trwożliwe oglądanie się na batutę kapelmistrza nawet tam, gdzie pauzy wynosiły zaledwie pół taktu, lub gdzie samo prowadzenie instrumentów jest dla spiewaka dostateczną dyrektywą. Rozstrzygającym probierzem dla nas będzie dopiero to, czy artystka z łatwością będzie sobie przyswajała inne partje, a świetne horoskopy dopiero wtenczas będą usprawiedliwione, jeżeli przyszłe, w niezbyt odległych pauzach po sobie idące występy pani Kamińskiej i tę ostatnią naszą niepewność rozwieją. Co do całości przedstawienia, przyznać trzeba, że wszyscy byli przy wybornym głosie, że wystawa była bardzo troskliwa, a reprezentacja szła tak gładko, iż to przedstawienie musimy zaliczyć do najlepszych w bieżącym sezonie.

Nowa komedja Paillerona, odegrana po raz pierwszy 16. b. m. *Wiek niewdzięczny* ma tę niepospolitą zaletę, że zarówno bawi i zajmuje; jest to szczęśliwe złączenie komedji sytuacyjnej i charakterystycznej. Nie spotykamy tam żadnych społeczeństwo nurtujących tendencji, lecz na bardzo wesołym stafażu utkany obrazek rodzinny, przedstawiający nawrócenie się płochego małżonka do niezasłużenie opuszczonej żony. Drugi akt wydaje się z pozoru zanadto farsowaty, lecz przy tem jest tak charakterystyczny, że chętnie przymyka się oko na zbyt żywe może gdzieniegdzie barwy; akt zaś trzeci, który przeważnie rozgrywa się między głównymi bohaterami sztuki jest prawdziwie wzorem na psychologicznych motywach osnutej akcji; to też żywo przemawia do słuchaczów. Sztuka ta została bardzo dobrze przyjętą, tem bardziej, że gra pani Parżnickiej, Nowakowskiej i Kwiecińskiej, tudzież panów Woleńskiego, Lubicza i Fiszera należycie wystudjowana i pełna zapału, nie mało jej dodała blasku. Najgorzej wypadły stosunkowo ensemble salonowe, ale to stało się już pospolitem zjawiskiem na naszej scenie — i nie przeszkadza wcale, aby tę sztukę publiczności jak najlepiej zalecić.

R. St.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Ćwierczakiewicz L.* Kalendarz na rok 1882 dla gospodyń. 8-ka, str. 202. Warszawa 1881, 91 ct.

— *Dickstein S.* Początkowa nauka geometrji w zadaniach. Książeczka pierwsza. 16-ka, str. 59. Warszawa 1881. 30 ct.

— *Franco ks. T. J.* Przystępne odpowiedzi na zarzuty najwięcej rozpowszechnione przeciw religii, z włoskiego. 2 tomy, 8-ka, str. 296, 310. Wilno 1879 — 1881. 3 zł. 60 ct.

— *Goldszmit Jakób.* Dobroczyńca, jakich mało. Ksiądz Stanisław Staszyc, jako filantrop i mąż stanu. Szkic bjograficzny (z portretem.) 8-ka, str. 32. Warszawa 1881, 30 ct.

— *Goldszmit Jakób.* Dramat rodzinny. Kartka z dziejów partykularza. 8-ka, str. 189. Warszawa 1881, 1 zł. 35 ct.

— *Goraj Adam.* Tendencyjność i Krytyka. Słów kilka z powodu dzieła Dra. P. Chmielowskiego p. t. Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu. 8 ka, str. 98. Warszawa 1881, 80 ct.

— *Grudziński Stanisław.* Wbrew opinii. Powieść obyczajowa. 2 tomy, 8-ka, str. 242, 310. Warszawa 1882, 3 zł.

— *Hertzberg Dr. G. F.* Historja Hellady i Rzymu. Przełożył z niemieckiego Bronisław Grabowski. Tom 1. Wydanie in 4-o z illustracjami, str. 467. Warszawa 1881, 4 zł. 50 ct.

— *Hube Romuald.* Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego. 8 ka, str. 226 i LXVI. Warszawa 1881, 4 zł.

— *Jeleński Jan.* Żydzi na wsi. 8-ka, str. 24. Warszawa 1881, 32 ct.

— *Kraszewski J. I.* Król chłopów. Czasy Kazimierza Wielkiego. (XIV Powieść historyczna.) 4 tomy, 8-ka, str. 200, 210, 218, 183. Warszawa 1881, 6 zł.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** *Krasiński w Niemczech.* Świeżo wyszedł jako Nr. 1519—20 Universal-Bibliotek (w Lipsku, u Reclama) Krasińskiego „Irydyon“ w nowym, dobrym przekładzie Dr. A. Weissa, poprzedzony notatką biograficzną. W tejże wyliczył tłómacz dotychczasowe przekłady Zygmunta i rozprawy o nim w języku niemieckim, prawie dokładnie. Z wszelką dokładnością tak się rzecz ta przedstawia: „Agay-Hana“ tłómaczył Brachvogel, znany autor „Narcyza“ (Lipsk 1840) i „N.eboską“ Lewestam (pod pseudonimem: Batornicki — Lipsk 1841) i Weiss (w rękopisie;) „Irydyona“ Jochmus (pod pseudonimem: Polono-Germanus — Berlin 1846, a to samo wydanie, tylko z nową kartką tytułową Lipsk 1847) a świeżo Weiss; „Noc letnią“ Blumenstok (Wiedeń 1881 — w „Dioskurach“.) Weiss (w rękopisie) a jeszcze jedno tłómaczenie było drukowane w „Preussischer Volksfreund“ 1844. „Pokusę“ tłómaczyli Stroka (Kraków 1881) i Weiss (w rękopisie); „Przedświt“ ten sam (również w rękopisie). Część „poematu niedokończonego“ wyszła pod tytułem: „Ein Traumgesicht“ w Lipsku 1875. Pojedyncze wiersze Krasińskiego przekładali Kurtzman, Lipiner, Nitschman, Weiss.

Oprócz ustępu o Krasińskim w „historji literatury powszechnej Scherra, który i w innych dziełach swoich kilkakrotnie, n. p. w noweli „Nemesis“ genialne myśli naszego wieszcza przytacza lub wspomina, posiadają Niemcy rozprawy o Krasińskim Blumenstoka (w „Dioskurach:“ 1873 charakterystykę poety, 1872 o „Irydyonie“, 1880 o „Nieboskiej). Szweminskiego o Nieboskiej“ (w Herriga „Archiv“ 1852), biografia w „Unsere Zeit“ VI 327—333. Klaczki rozprawę: „La poesie polonaise et le poete anonyme“ (Revue des deux mondes 1862) przetłómaczył w manuskrypcie Kurtzmann.

Dr. A. Zipper.

*** Wł. Syrokomli *Nocleg hetmański,* poemat na tle historycznem z czasów Jana Tarnowskiego, opuścił prasę w taniem wydaniu w Bibljotece Mrówki. Dotychczasowa cena 1 zł. 50 ct, zniżona w nowem wydaniu na 20 centów.

*** Firma księgarska F. H. Richtera wydała illustrowany zbiorek poezyjek dla dzieci, napisanych przez p. Władysława Bełzę, zatytułowany „Matka“. Poemaciki te, rzewne, łatwe, poczciwe, podobają się dzieciom bardzo...

*** Arcydzieło Wł. Syrokomli „Kęs chleba“, gawęda z pól nadniemeńskich, wyszło w drugiem wydaniu „Bibljoteki mrówki“, jako tomik 19 tejże bibljoteki.

*** Wielkie powodzenie, jakie zyskały powieści T. T. Jeża u publiczności francuskiej, zachęciło tłumaczy do zaznajomiania Francuzów i z innymi naszymi autorami. Obecnie dowiadujemy się, że powieść M. Bałuckiego *Za winy niepopełnione* ma wkrótce wyjść z druku w tłumaczeniu francuskiem.

*** *Ułas,* jeden z najpiękniejszych poematów Wł. Syrokomli, został przełożony na język czeski i wyszedł z druku jako IX. zeszyt wydawnictwa „Ustrzedna Knihovna.“

*** Wyszły z druku: Sprawozdanie Komitetu Towarzystwa wzajemnej pomocy uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego, z czynności w roku 1880—81, oraz Sprawozdanie z czynności Wydziału Czytelni akademickiej w Krakowie za rok 1881.

*** W Warszawie ukazał się prospekt dawno zapowiadanego *Przeglądu pedagogicznego,* którego redaktorem i wydawcą będzie p. E. Babiński.

Zadaniem *Przeglądu* ma być równomierne traktowanie działów wychowania fizycznego i intelektualnego, uczuciowego i estetycznego, moralnego i religijnego, z uwzględnieniem środków, wiodących wychowawcę do możliwego urzeczywistnienia owych ideałów.

*** Niedawno wyszły z druku w języku małorosyjskim „Pisni i Dumy“ M. Starickiego.

Oprócz rzeczy oryginalnych, zbiór obejmuje przekłady z Byrona, Heinego i poetów polskich.

Z liczby tych ostatnich bogato przedstawiony i wdzięcznie tłumaczony jest Syrokomla.

*** W *Revue historique,* wychodzącej w Paryżu, spotykamy artykuł prof. Pawińskiego, stałego korespondenta tej publikacji, zawierający obraz ruchu historjograficznego u nas w latach ostatnich.

Artykuł ten, jak wszystkie prace wyszłe z pod pióra profesora, odznacza się ścisłością i znajomością przedmiotu.

*** Wyszła w Nowym-Jorku książka „Beauty in Dress“, pióra Oakey'a, w której znajduje się luźny ustęp o dawnych strojach polskich.

*** Z Krakowa donoszą, iż „Hołd pruski“ Matejki skończony będzie w ciągu dwóch lub trzech miesięcy.

*** St. Barcewicz, po ostatnim koncercie w Chrystjanji, otrzymał dyplom honorowego członka tamtejszego Towarzystwa muzycznego.

Treść: Zefirek, przez Elizę Orzeszkową. (c. d.) — Kilka słów o dziele «Prusacy w Niemczech». (c. d.) — Przypowieści, wiersz Wincentego Pola. — Kronika tygodniowa. — Pan minister, przez J. Claretie. (c. d.) — Piśmiennictwo. — Teatr. — Bibljografja polska. — Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, tom IV-ci, arkusz 1.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.